

MIŁOŚĆ
Anny

i inne opowiadania

Jolanta
Knitter-Zakrzewska

Jolanta Knitter-Zakrzewska

Miłość Anny

i inne opowiadania

© Copyright by Jolanta Knitter-Zakrzewska & e-bookowo

Zdjęcie na okładce: <https://elements.envato.com>

Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-8166-039-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2019

[Kup książkę](#)

Miłość Anny

„Bo jak śmierć potężna jest miłość”.
Biblia Tysiąclecia, Pieśń nad Pieśniami 8,6

Ciemność odbiera światu realne kontury, zatracą rzeczywistość w innej przestrzeni, wypełnionej kształtami tworzonymi przez odległy blask gwiazd, żółtawe światła latarni, naszą wyobraźnię, która w tych załamaniach światła i cieni widzi i słyszy rzeczy, których – być może – nie ma.

Tak mniej więcej policja, lekarze, rodzice próbowali wyjaśnić mój stan. Do tego dodawano: „bo mieszka pani sama, w samotności człowiek robi się nadwrażliwy na najróżniejsze bodźce. A może za mało snu? Sen jest najlepszym lekarzem, a może to zmęczenie, za dużo pani biega...”

– Potrafi pani podać swoje dane, zawód, wie pani, gdzie pani jest?

– Tak. Nazywam się Anna Nowak. Jestem nauczycielką. Znalazłam się w szpitalu z powodu przemęczenia, a żaden Artur Buchner nie istnieje.

Zgadzałam się, oczywiście, kiwałam głową, nie można przecież nie zgadzać się z ogółem, z większością, bo cię wykluczą. A ja chciałam zachować status quo. Dalej pracować w szkole. Z radością obserwować efekt swojej pracy, kiedy

dziecko po żmudnym dzieleniu słowa na sylaby, odkrywa nagle cały wyraz i zaczyna czytać. Być dumą dla rodziców, ich oparciem. Znaleźć miłość swojego życia. Wyjść za mąż, urodzić dzieci. Stworzyć ciepły dom. Czy miałam to wszystko zaprzepaścić, upierając się przy tym, że cię spotkałam... Wyparłam się ciebie. Zdradziłam. Ale wiem, że mi wybaczysz. Że wiesz – znasz przecież ten świat – nie potrafiłam postąpić inaczej.

Śledztwo w sprawie poszukiwania twojej osoby zostało umorzone. Rodzice odetchnęli z ulgą, że ich córka nie postradała zmysłów. Dzieci w szkole ucieszyły się z mojego powrotu z urlopu zdrowotnego. A moja przyszła miłość z całą pewnością miała mnie wkrótce poznać. Ale kiedy przychodziła północ i mogłam sama odpocząć po całym dniu w swoim przytulnym mieszkaniu, wygaszałam wszystkie światła, podchodziłam do okna i znowu widziałam ciebie. Ciemność lśniła za oknem jak rzeka, w której srebrzy się blask odległych gwiazd. Znowu widziałam tamten wieczór, jakby to było zaledwie wczoraj. Wiem, że minął rok od tamtego zdarzenia, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Nie zniknąłeś z moich myśli, pamiętam jak dziś ten wieczór, kiedy się poznaliśmy...

Kochałam swoją pracę, jednak czasami szkoła bardzo mi ciążyła. Wychodziłam z budynku, ale dalej w głowie słyszałam głosiki dzieci, ich skargi, drobne problemy, duki.

Rozwazałam, jak dotrzeć do każdego z nich, jak najlepiej im pomóc, by nie stały się zbyt próżne, bezcelne, a z drugiej strony, by nie straciły wiary w siebie, miały poczucie własnej wartości i lubiły się uczyć. W uwolnieniu się od wszystkich myśli pomagało mi bieganie. Był to na tyle duży wysiłek fizyczny, że nie byłam w stanie o niczym myśleć, dawało to doskonałe odprężenie psychiczne. Bieganie wzmacniało ciało, a jednocześnie umysł. Za każdym razem po takim wysiłku, na drugi dzień sprężystym, lekkim krokiem przekraczałam próg szkoły i z nową energią uczyłam dzieci abecadła. Wieczorami z nauczycielki przemieniałam się w biegaczkę. Ubrana w dresy, bez względu na późną porę i pogodę, szłam na pobliską bieżnię. Po lewej stronie wznosił się ogromny gmach szkoły z czerwonej cegły. Przed II wojną światową mieścił się tutaj szpital dla chorych na gruźlicę. Po prawej roztaczał się bujny las, gęsto porastający wzgórza morenowe. Lekcje i zajęcia sportowe kończyły się w szkole około godziny szesnastej i wieczorami nie było tutaj niko- go. Z bieżni mogli swobodnie korzystać mieszkańcy osiedla, na którym mieszkalam, jednak w listopadowy czas ludzie woleli fotel, kapcie i telewizor. Zazwyczaj biegałam sama, więc wielkie było moje zdziwienie, gdy pewnego wieczoru usłyszałam za swoimi plecami głos:

– Nieźle, dobrą ma pani kondycję, ile jeszcze kółek w planie?

Dogonił mnie biegacz w czarnych dresach. Głos miał bardzo niski, miękki, przyjemny dla ucha. W słabym świe-

tle latarni widziałam ciemne, lekko podkrążone, błyszczące oczy i szczupłą, ale bardzo męską, twarz.

– Już mi zaczyna brakować sił – odparłam. – Jeszcze jedno kółko i koniec.

– To po tym zakręcie zapraszam na gorącą herbatę.

Widział moje wahanie i szybko uprzedził odmowę:

– Tutaj, do szkoły, pracuję tutaj jako szkolny stróż, mam do dyspozycji pokój socjalny.

Odetchnęłam z ulgą. Kiedy usłyszałam, że jest pracownikiem szkoły, wzbudził momentalnie moje zaufanie. Zgodziłam się.

W jasnym świetle mogłam dokładnie mu się przyjrzeć. Uwagę w jego twarzy przykuwały ciemne, błyszczące oczy w bladej twarzy. Artur – bo tak miał na imię – przygotował dwie herbaty cukrem i cytryną, a z którejś szafki wyciągnął pyszne ciastka z przyprawą korzenną. Bardzo dużo mówił, jakby wiele czasu przebywał w samotności i był spragniony podzielenia się z kimś swoimi myślami. Mówił z zapałem, energią, pięknym językiem, barwnie i ciekawie o uczniach w szkole, pielęgnowaniu krzewów wokół budynku, o samotnych wieczorach urozmaicanych bieganiem, o swoich zainteresowaniach Jungiem, którego teorię cenił dużo wyżej od Freuda. Słuchałam go z przyjemnością i cieszyłam się coraz bardziej, że go poznałam. Od tej pory bieganie stało się tylko pretekstem do ponownego spotkania. Na lekcjach zda-

rzały mi się momenty długiego zamyślenia, a w czarnej tablicy widziałam ciemne oczy Artura. Dopiero głosiki dzieci i ich natarczywe pytania przywracały mnie do rzeczywistości. Wieczorami biegaliśmy razem, a potem rozgrzewała nas gorąca herbata z ożywczą nutą cytryny. Któregoś razu Artur dotknął mojej dłoni, a ja nie cofnęłam swojej. Przytulił mnie i odnalazł moje usta. Trwaliśmy tak w długim pocałunku, a potem Artur wziął mnie na ręce i zaniósł po schodach do swojego służbowego pokoju na piętrze. Rozstaliśmy się dopiero o świcie. Aż nadszedł tamten wieczór, nasz ostatni...

5 stycznia 2019 roku około godziny siedemnastej trzydziści wyszłam z domu w dresach i skierowałam się na bieżnię, znajdująca się przy szkole, po przeciwnej stronie ulicy, przy lesie. Było wyjątkowo ciemno. Zamiast śniegu padał drobny deszcz, a nad boiskiem nie paliły się latarnie. W tej ciemności nie dostrzegłam nawet, że Artur podszedł do mnie. Usłyszałam dopiero jego głos. Niski, ciepły głos, który zdążyłam tak bardzo pokochać.

– Biegniemy? – zapytał beztrosko.

Kiwnęłam głową i ruszyłam tuż za nim, bo zdążył mnie wyprzedzić już na samym początku. W ciemności zupełnie zniknął mi z oczu. Tego wieczoru nie świeciła tu ani jedna latarnia. W oddali widać było tylko czarny zarys lasu z jednej strony i potężny gmach szkoły z drugiej. Zmęczyłam się i zatrzymałam na chwilę. Zamiast biec zaczęłam iść, wle-

piałam oczy w ciemność, by dostrzec Artura. Nigdzie go nie widziałam. Pewnie był za daleko i jego sylwetka w czarnych dresach niknęła w ciemności. Nagle usłyszałam kaszel Artura dochodzący z oddali. Gwałtowny, głęboki, a potem zapadła cisza. Zupełna cisza.

– Artur? – zawołałam, ale on nie odpowiedział. Zaczęłam biec w kierunku, z którego wydawało mi się, że przed chwilą słyszałam atak kaszlu. Krzyczałam: „Artur!”, „Artur!”. Ale on się nie odezwał. Nie wiem, jak długo krążyłam po pograżonej w ciemności bieżni, wołając Artura. W końcu zrezygnowana, zrozumiałam, że jestem sama. Nie ma go tutaj. Zostawił mnie samą? Pobiełam do szkoły, szarpałam za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Wypatrywałam światła w pokoju socjalnym na parterze i na piętrze, gdzie znajdował się jego służbowy pokój, ale okna były zasłonięte. Odbijał się w nim jedynie srebrzysty odblask gwiazd. Zaczęłam biec przed siebie, w kierunku głównej ulicy miasta. Zatrzymałam się przed komisariatem policji.

– Musi pani poczekać z tym zgłoszeniem zaginięcia. – policjant patrzył na mnie obojętnym wzrokiem. W końcu, kiedy zaczęłam go przekonywać, że obok jest las, że może ktoś z tego lasu wyszedł i wciągnął tam Artura, zdecydował się zanotować jego dane i obiecał, że natychmiast wyśle tam patrol. Spędziłam bezsenną noc czekając na telefon od Artura albo z policji. Sama dzwoniłam do niego chyba kil-

kadziesiąt razy. Telefon był poza zasięgiem. Około godziny ósmej rano zadzwonił policjant i powiedział, że mam stawić się na komisariacie.

– Podała nam pani dane osoby zaginionej: Artur Buchner, zatrudniony w Zespole Szkół nr 17, tak? Zgadza się? Podtrzymuje pani swoje zeznania?

– Tak, oczywiście, znaleźliście go?

– Czy jest lub była pani leczona psychiatrycznie?

– Nie, o co chodzi, znaleźliście Artura?!

– Taka osoba nie istnieje. Nikt o takim nazwisku nie pracuje w Zespole Szkół nr 17 w Wejherowie, nie widnieje w ewidencji ludności ani w naszym mieście, ani na terenie całego kraju! Czy pani sobie zdaje sprawę, że składanie fałszywych zeznań wiąże się z odpowiedzialnością karną?! Czy pani jest pewna, że 5 stycznia 2019 roku ktoś biegał z panią na bieżni przy Zespole Szkół nr 17?! Czy była pani sama, niech pani mówi prawdę! Wycofuje pani zgłoszenie?!

– Nie!

Kolejne dwa tygodnie miałam wysoką gorączkę. Odwiedzali mnie rodzice. Radzili odpocząć, wypaść się. Pytali o to, dlaczego wymyśliłam sobie tę historię z Arturem Buchnerem. Ciemność, zmęczenie, to wszystko mogło wpłynąć na odbiór rzeczywistości. Byłam zrezygnowana, wyczerpana. Przyznałam rację rodzicom. Wycofałam zgłoszenie zaginięcia. Wyparłam się Artura. A przecież widziałam jego oczy, pamiętałam jego

dotyk, głos. Kiedy wyzdrowiałam, swoje kroki skierowałam od razu do Zespołu Szkół nr 17. Usłyszałam, że szkoła nie zatrudnia żadnego stróża. Zajrzałam do pokoju socjalnego. Poznałam te miejsce. Stół był przykryty białym bieżnikiem w niebieskie róże, tym, samym, na którym Artur stawiał herbatę i ciastka z przyprawą korzenną. Zapytałam, czy mogę zajrzeć na piętro. Dyrektor zgodził się. Dotarłam do zielonych drzwi, które prowadziły do mieszkania Artura. Z bijącym sercem nacisnęłam klamkę. Uchyliłam drzwi i stanęłam na progu pokoju, do którego na rękach przyniósł mnie Artur. W jasnym świetle poranka w powietrzu zawirował kurz. Poza tym pomieszczenie było zupełnie puste. Zesłam z powrotem do dyrektora, zapytałam o to pomieszczenie. Usłyszałam, że kiedyś w tym pomieszczeniu znajdowała się izolatka dla najczęściej chorych na gruźlicę.

– Ten pokój był za mały na to, by urządzić w nim klasę. Przez jakiś czas służył jako archiwum byłego szpitala dla chorych na gruźlicę, a potem jako pomieszczenie gospodarcze, a teraz czeka na remont. Potem zobaczymy, na co je przeznaczyć... – podziękowałam dyrektorowi za wyjaśnienia.

– Gdzie teraz znajduje się to archiwum?

– Akta osobowe zostały przesłane do Archiwum Państwowego w Gdańsku.

Opanowana obsesją wyjaśnienia tej historii wzięłam urlop i następnego dnia pojechałam do Gdańska. Po złożeniu pisemnej prośby udostępniono dokumenty pracowników i pensjonariuszy Szpitala dla chorych na gruźlicę. Drżącymi rękami przewracałam poźółkle kartki wypełnione czarnymi lite-

rami imion i nazwisk. Nikt o nazwisku Buchner nigdy tam nie pracował. Wtedy zerknęłam na listę pacjentów i od razu zobaczyłam... był drugi na liście: Artur Buchner urodzony 4 listopada 1905 roku w Gdańsku.

Zmarł 5 stycznia 1933 roku w Szpitalu dla chorych na gruźlicę w Wejherowie.

Ciemność odbiera światu realne kontury, zatracza rzeczywistość w innej przestrzeni wypełnionej kształtami tworzonymi przez odległy blask gwiazd, żółtawe światła latarni i naszą wyobraźnię, która w tych załamaniach światła i cieni widzi i słyszy ludzi, którzy kiedyś tutaj żyli...

Artur zjawił się na chwilę w moim życiu. Dlaczego? Po co? Może po to, aby mi powiedzieć, że praca to nie wszystko, a najważniejsza jest miłość – bez niej zawsze będziemy samotni. I nie może być to miłość ze snu, marzenia, wymyślona, nieodwzajemniona, ale najzwyczajniejsza, mocno wrośnięta w codzienność – realna.

Wobec takiej miłości nawet śmierć traci na znaczeniu.